

Dorota Przyłubska

część II z III

Sygnatura notacji: **N0501**

Data urodzenia: **18.07.1964 r.**

Data nagrania: **27.07.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 59 min, część III: 25 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Dorota Przyłubska: Druga anegdota była taka, że w ,86 roku bodajże, nie pamiętam dokładnie, wydaje mi się, że to był ,86, we wrześniu chyba, zrobili taką akcję, że zaczęli wyciągać ludzi z domu, trochę to była, wydaje mi się, taka trochę akcja pokazywana w zasadzie, że oni wszystko wiedzą o wszystkich. I tutaj do mnie przyjechali o godzinie 5.00 rano. Dwóch panów, oczywiście klasyk: jeden miły, drugi niemiły. No mama zaczęła nerwowo tutaj szukać jakichś tych, więc ojcu zaczęła upychać tam pod kołdrę jakąś bibułę. Oczywiście coś wyrzuciła na drugą stronę, to już też klasyk. Oni bardzo często wiedzieli, już tam stali pod tym oknem. Ale oni niby jakoś zainteresowali żadnym sprawdzaniem i powiedzieli, że ja mam z nimi iść. No i ja pamiętam, miałam taki dylemat, dzisiaj to po prostu jest wszystko takie śmieszne, ale wtedy rzeczywiście człowiek był taki, nigdy nie wiedział, co się będzie działo. Zastanawiałam się, czy ja mam się ubrać racjonalnie, ciepło, bo nie wiadomo, kiedy ja wrócę i w ogóle jak to będzie, czy ja mam jednak się ubrać lepiej. I wybrałam drugą opcję. I pamiętam, byłam wtedy we Francji i przywiozłam sobie lakierki z Francji. Ja te lakierki założyłam. Ubrałam się, pojechałam z tymi panami, a ponieważ to była historia, że pół roku, parę miesięcy wcześniej w tym środowisku, właśnie w grupach była ta historia z Michałem Mireckim, który został porwany, no więc tak do końca też nie było wiadomo, gdzie mnie ci panowie zabierają. No i mój tata wsiadł w samochód i za nimi pojechał. I oni mnie zawieźli na Rakowiecką, tylko że to wejście tam od Batorego. No i tam mnie zaprowadzili do pokoju. I pamiętam, że był taki nieduży pokój, ze stołem, po obu stronach były krzesła. No i przy biurku, tak u szczytu tego stołu siedział jakiś tam ubek, który był bardzo grzeczny w ogóle, taki unижony i taki miły. I tak w ogóle starał się stworzyć atmosferę w ogóle familijną niemalże. No i ja usiadłam najbliżej niego, bo byłam właśnie pierwsza, no i potem zaczęli przywozić następne osoby. Przy czym przywieźli też wtedy Kotarskiego, Radziwona i już chyba nikogo nie znałam z tych osób pozostałych. No i tak dowozili, bo ci, którzy mnie przywieźli, pojechali po jakichś tam następnych. I tak

dowozili te wszystkie osoby, no i usadzili nas tak wkoło tego stołu. No i siedzieliśmy tak, właśnie nic się nie działo. No i ten ubek w pewnym momencie mówi do nas, tak siedzi, tak mówi tak – ach, państwo pewnie bez śniadania, głodni, i pewnie ani kawy, ani herbaty. No i wszyscy tak się po sobie trochę rozejrzeli, tak się troszeczkę odprężyli i mówią – no. On mówi – to może ja zaproponuję kawę, albo kto kawę, kto herbatę. No i wszyscy tak: no dobrze, zgłaszali – ten kawę, ten herbatę, dobrze. On wykręca numer i tam mówi, już nie wiem, czy on się przedstawił, w każdym razie mówi, z którego on jest pokoju. I mówi tak – tu państwo przyjechali, no siedzą, rano, tego, ja bym chciała poprosić sześć herbat i tam pięć kaw. A z drugiej strony – popierd*** cię? [śmiech] A on mówi – dobrze, dobrze. Odłożył tą słuchawkę – no bardzo mi przykro, ale bufet jeszcze nieczynny. I gdybym nie była świadkiem tego, bo siedziałam obok i słyszałam to bardzo dokładnie, no to jak z Barei w ogóle tekst. Także „bufet nieczynny”. No potem na szczęście okazało się, że wypuszczono mnie tam chyba o 15.00. Brali nas potem po kolei na przesłuchanie. Mnie dopytywali o Teosia, mojego męża, a bo mój tata pojechał, jak zobaczył, że mnie na tą Rakowiecką wiozą, no to już wiedział, że jadę na Rakowiecką i pojechał wtedy do mojego męża – jeszcze nie męża wtedy – na Szegedyńską go poinformować, ale on się zabarykadował w domu i udawał, że go nie ma. Widział mojego tatę oczywiście z okna. No i wiedział już, co jest grane, ale się nie ujawnił i oni go nie wyciągnęli. Bo kiedyś to nam się próbowali do tego mieszkania nawet włamywać przy jakiejś innej okazji, ale wtedy odpuścili. No i mnie właśnie wypytywano, gdzie to mój narzeczony, bo myśmy już wtedy byli taką parą, gdzie to mój narzeczony jest i w ogóle. A ja go widziałam poprzedniego dnia wieczorem. No i najlepiej, bo ja mówię – to jest dorosły człowiek, wolny, robi, co chce. Ale pamiętam, że już mi tam w głowie buzowało: gdzie on jest. Tak że takie podchody były, prawda. Dobrze to sobie wymyślili. No i tam jakieś rzeczy pytali, ale takie pamiętam dosyć ogólne. Nic tam chyba takiego szczególnego nie było. Nie wiem, o kogo oni pytali. A potem nas zaprowadzili do pokoju, gdzie na wideo – już wtedy istniejące i funkcjonujące – puścili nam film z tego momentu, jak właśnie Michał Mirecki był zatrzymany i przesłuchiwany. I tam, jak dziś pamiętam, że na tym filmie były takie stosy znaczków i coś tam, na takim stole i on chodził i mówił – co to są za rzeczy, tak? To było bardzo nieprzyjemne, zwłaszcza że jeszcze przywieźli wtedy jego ojca – nie, jego teścia, przepraszam – jego teść był wtedy przywieziony przez nich i on był świadkiem tego z nami razem. A tego dnia urodziło się właśnie to pierwsze dziecko Michała, dokładnie tego dnia. A tam była taka historia, że jak on był porwany, to jego żona była na patologii ciąży i on do niej jeździł do szpitala i wracając z tego szpitala właśnie go spod domu tam zgarnęli. I to dziecko właśnie, z którym ona wtedy była w ciąży, się tego dnia właśnie urodziło. Więc to cała historia była taka niby niegroźna tak naprawdę, bo właściwie to taka była pokazówka. Myślę, że tego „Tadea” też przywieźli po to, żeby go uwiarygodnić, wiadomo. I potem jak wyszłam, to pamiętam, że tak mi kolana latały i zęby latały i jednak emocje były silne. Ale w każdym razie to był jedyny moment, kiedy byłam zatrzymana na chwilę, a właściwie przesłuchiwana. I to była taka anegdotka zabawna. A druga historia związana z naszą działalnością to była taka, jak w 1988 roku, jak były strajki, Teoś wpadł tutaj i powiedział do mojej mamy – wiesz, Doniu, tutaj tego – a mój synek był malutki wtedy, ja tak trochę mieszkalam tam właśnie pod Hutą, a trochę tutaj u mamy, bo tam nie było telefonu, Teosia właściwie nie było całe dnie w domu, więc ja tak po prostu tutaj jeździłam do rodziców. Teoś był takim prawie noworodkiem. On się w czerwcu urodził.

Artur Kłus: W którym roku?

Dorota Przyłubska: 1988. Myśmy ślub mieli w 1987, też w czerwcu, a Teoś się rok równo po ślubie urodził. No

i Teoś wpada i mówi do mojej mamy – Doniu, tutaj dzisiaj przyjedzie Zbyszek Bujak i będzie nagrywał odezwę do robotników. No dobrze, już miał różne pomysły i z różnymi sprawami wpadał. Mama – Bujak, Boże, kochany, prawda, no wspaniale. Znaczą się, mama upichciła obiad, przyszedł Zbyszek, zjadł oczywiście z apetytem cały ten obiad. No i potem okazało się, że ma nagrywać na magnetofon, na Grundiga takiego. Każdy wtedy miał te Grundigi takie kasetowe. No i oczywiście ten Grundig nie działał. No i pamiętam, że Zbyszek bardzo precyzyjnie, szpilką, którą mama mu dała, naprawił ten magnetofon. W tamtym pokoju – to był pokój mojego taty – poszedł, zasłonił okno kocem chyba, jakoś tam właśnie wyciszył, no i miał nagrywać, a ja siedziałam w drugim pokoju i karmiłam mojego syna. Mój syn miał taką niedojrzałość przewodu pokarmowego, jak był mały, takie kolki, po prostu co jakiś czas przy karmieniu dostawał takich spazmów i biedny płakał. No i jak Zbyszek właśnie mówił – robotnicy Ursusa, wzywam was i w tym momencie moje dziecko zaczynało robić: łaaaa! No więc Zbyszek: dobrze – no to „abator” tą taśmę – robotnicy Ursusa, wzywam was... I to się tak powtarzało kilkakrotnie. No i to tak mniej więcej nasza rzeczywistość wtedy wyglądała. Zbyszek Bujak potem trzymał naszego syna do chrztu, ale trzymał go w zastępstwie, nie był ojcem chrzestnym, tylko ojcem chrzestnym był Konrad Biliński, który z kolei był wtedy z Ewą Kulik w Stanach Zjednoczonych. Zbyszek w zastępstwie trzymał. Tutaj mam zresztą jakieś zdjęcie z tego chrztu i tutaj widać właśnie Zbyszka Bujaka i moje dziecko, i ksiądz Sikorski, który nam zresztą też ślubu udzielał. To może pokażę od razu to zdjęcie właśnie nasze ze ślubu, ze świętego Marcina, z kościoła świętego Marcina, gdzie też nam właśnie ksiądz Sikorski udzielał ślubu. A tutaj jeszcze ta historia, którą również opowiadałam, że jak braliśmy ślub, było bardzo dużo gości i w świętym Marcinie na Starym Mieście jest z boku dziedziniec i po całej uroczystości wychodziliśmy właśnie na ten dziedziniec, tam nam wszyscy składali życzenia i pierwszą osobą, która składała nam życzenia, był Jacek Kuroń, który się spóźnił i wpadł prosto na nas właśnie z bukietem tych róż i nam pierwszy składał życzenia, więc to też było bardzo miłe. To był 26 czerwca 1987 roku, święty Marcin. I co jest ciekawe, opowiadano nam, że tam była ekipa esbecka, która kręciła w ogóle wszystkich naszych gości na Piwnej. Tam jest taki przesmyk do Świętojańskiej i oni tam gdzie byli. I niestety, no bardzo liczyłam na to, że kiedyś ten film będę miała, ale niestety się nigdzie w żadnych archiwach tam nie odnalazł. Zresztą co ciekawe, teraz, jak składałam różne tam papiery do tego statusu kombatanta, to wszystkie moje papiery zostały zniszczone zaraz w ,89 roku jako nieistotne. No ja nie miałam oczywiście kontaktu bezpośredniego ze Zbyszkiem, natomiast Teoś dostarczał do RKW takie meldunki różne i na te meldunki przez jakiś czas była u nas skrzynka kontaktowa. Były dostarczane tu, moja mama je niosła do pani Danuty Kąkolewskiej, już niestety nieżyjącej od lat, przyjaciółki i znajomej moich rodziców, która mieszkała po drugiej stronie Brazylijskiej i tam od niej kurier odbierał, łącznik odbierał te dokumenty i tam Teoś je przekazywał. No to tak, no bo Zbyszka dopiero poznałam właśnie już pod koniec lat osiemdziesiątych i takie spotkanie, nasze kontakty były raczej bardziej kontaktami już takimi, powiedziałabym towarzyskimi, niż związanymi z działalnością. Jakies takie bezpośrednie zaangażowanie, moje bezpośrednie w akcje, to raczej ja już nie byłam zaangażowana, to znaczy, byłam cały czas świadkiem różnych przygotowań, na przykład osobą, która zawsze w tych akcjach brała udział i z którą widywaliśmy się chyba codziennie, to był Piotr Izgarszew, też nieżyjący, „gruby Pawełek” tak zwany, który był uroczym człowiekiem, ciepłym i w ogóle kochanym i tak dalej, trochę takim, powiedziałabym, o mentalności chłopca, ale który miał mnóstwo różnych pomysłów na różne urządzenia, różne rzeczy. I on bardzo często właśnie tam bywał u nas na Szegedyńskiej. Jak mieszkaliśmy na Szegedyńskiej, to on przyjeżdżał i właśnie omawiali bez przerwy coś. Potem z kimś... No i ja miałam kontakty oczywiście też właśnie z Wojtkiem Nachiło, z Rysiem Nachiło, oni mieszkali tu na Gocławiu, też tam u nich bywałam. Ale też, mówię szczerze, nie pamiętam dokładnie, w związku z czym myśmy się spotykali, tak? No zwłaszcza-

cza że to życie opozycyjne to było takie trochę mieszkające się działanie po prostu z takimi przyjacielskimi, towarzyskimi kontaktami, bo z moim mężem bez przerwy chodziliśmy na jakieś spotkania, co to miały być, niby spotkaniami konspiracyjnymi, a kończyły się w spotkaniach towarzyskich. Życie poza takimi prywatnymi spotkaniami właściwie nie istniało wtedy. Myślę, że te więzi międzyludzkie były wtedy bardzo silne, bo ludzie się właściwie spotykali głównie u siebie w domach. Czasem gdzieś jakieś spotkania odbywały się w jakiejś kawiarni, ale to były jakieś takie właśnie już spotkania związane z raczej... Pamiętam, jak była ta uroczystość nadawania imienia mojemu męża Mikrusowi, akademikowi Mikrus no i spotkała się ze mną dziennikarka – już nie pamiętam – z Panoramy, z jakiegoś programu newsowego z telewizji no i mówi do mnie tak – a jak wyglądały wasze randki? A ja mówię – wie pani co? Ale myśmy nie mieli randek. Coś takiego właściwie nie istniało, bo myśmy się właściwie nigdy nie spotykali. No gdzieś pamiętam, że właśnie Teos wyjeżdżał ze mną na naszą tą działkę i bardzo tam odpoczywał, no bo jego życie jednak było ciągłym stresem. Co tu dużo ukrywać, no to wyglądało tak, że on właściwie cały czas miał świadomość, że ktoś go może śledzić, ktoś go może obserwować, bardzo się czuł odpowiedzialny też za swoich ludzi podopiecznych, zwłaszcza że młodzi chłopcy, w moim wieku, trochę starsi, więc też był w ciągłym stresie, że coś się z nimi może wydarzyć, a różne dramatyczne historie się zdarzały. Cały czas coś robił, właściwie cały czas. To nie było komórki, tego wszystkiego, więc jakby wszystko trzeba było załatwić osobiście. Telefony to też nie były takie proste, bo nie każdy miał telefon. Telefony były na podsłuchu. Tego się tam zawsze obawiano i tak dalej. Trzeba było wszystko w zupełnie inny sposób organizować. I dla niego taki wyjazd na tę działkę, czy w ogóle, myślę, że mój dom był dla niego takim miejscem jednak, gdzie on się czuł po prostu i dobrze, i bezpiecznie. I taką miał namiastkę domu, bo on się urodził jeszcze koło Lidy na Białorusi i oni jako rodzina repatriowali w 1959 roku, to była taka ostatnia fala repatriantów, Gomułka coś dogadał z Moskwą i się zgodzono na jeszcze jakąś tam falę tych repatriantów. I zresztą bardzo podobną historię i zresztą z podobnych okolic był Niemen. Oni w ogóle w tym samym roku, nawet tymi samymi transportami jakoś tak tutaj do Polski przyjechali. I jak przyjechali tu do Polski, to ich ojciec, też Teodor Klincewicz – bo mój mąż miał brata, ma jeszcze, żyje, Waleriana Klincewicza, starszego od niego dwa lata – no to jak przyjechali tutaj do Polski, to ojciec miał taką idée fixe, ponieważ już te ostatnie fale repatriacji wysyłano przeważnie do małych miejscowości, gdzieś tam na ziemiach odzyskanych, a on chciał, żeby synowie się kształcili koniecznie i dlatego chciał gdzieś przy jakimś dużym mieście, jakimś dużym ośrodku. I oni gdzieś tam osiedli w końcu, błąkając, uciekli z tego obozu, bo tam była jakaś zaraza, jakaś choroba zakaźna, nie wiem, czerwonka, czy coś, więc ich zamknięto w jakimś takim obozie przejściowym, oni stamtąd uciekli, gdzieś się tam błąkali po tej Polsce, no w końcu osiedli w Gdyni-Chylonii. To są takie wzgórza wokół Gdyni, w takich naprawdę bardzo biednych domkach, do tego stopnia, że mój mąż opowiadał, że w ogóle pierwszej zimy im tam pód dachu zerwano. Potem jego brat przyjechał tu do Warszawy studiować na WAT-ie, Wojskowej Akademii Technicznej, z którego to WAT-u potem bardzo silnie chciał się przenieść albo wydostać, bo nie chciał jednak zostać wojskowym. To już były właśnie osiemdziesiąte lata, osiemdziesiąty rok. I robił różne bardzo dziwne rzeczy, żeby go stamtąd wyrzuceno. I owszem, go wyrzuceno, tylko go wtedy skierowano do zasadniczej służby zawodowej i pojechał do Orzysza, do takiej karnej jednostki. Tam dwa lata musiał w tym wojsku odbyć. Tak że to wcale nie było tak różowo. Teos z kolei właśnie mieszkał w akademiku. Tam już w tym akademiku od razu zaczął knuć: a to coś drukował, a to coś. Więc właśnie wtedy jakoś z KOR-em współpracował. W związku z tym, no właściwie jego życie też było takie, nigdy nie miał swojego domu, nie osiadł. Matka Teosia, czyli moja teściowa, jak oni byli młodzi, wyjechała, uciekła w jakimś sensie do Stanów Zjednoczonych. Tam sobie zorganizowała wycieczkę i uciekła. Ojciec został tutaj. I ojciec mojego męża, którego ja nigdy nie poznałam, zmarł tydzień po tym,

jak jego wypuszczono z więzienia. Także to też było takie bardzo przykre i smutne.

Artur Kłus: W tym 1983?

Dorota Przyłubska: W tym 1983, tak. Teoś właśnie od razu, jak wyszedł, pojechał do ojca do Gdyni, bo bardzo był związany z ojcem, tak uczuciowo, emocjonalnie. No i tam tata zmarł. Teoś, jak został wypuszczony z więzienia, pojechał do Gdyni i tam jeszcze na szczęście się z ojcem spotkał, ale po tygodniu jego tata zmarł. To zresztą jego tatę poznała Małgosia Grabowska-Kozera. Nie wiem, czy pan może już rozmawiał z Małgosią? No to z Małgosią koniecznie trzeba rozmawiać, bo to była bardzo bliska przyjaciółka mojego męża też, a jej mama tak zwana doktorka-patriotka. Pani Grabowska była senatorem zresztą, już nie żyje niestety, bo to też była bardzo ciekawa, niezwykła postać. No i one właśnie też wtedy z Teosiem były i potem chyba nawet do Dębek pojechali na jakiś tam jeszcze wypoczynek, gdzieś ksiądz Jerzy z kolei też zawsze jeździł odpoczywać. No i teścia nigdy nie poznałam, o teściu też słyszałam różne... Tutaj zresztą mam teścia zdjęcie, pokażę. Może pokażę też zdjęcia mojego męża właśnie jeszcze z czasów młodości, nie wiem, czy to są takie z czasów, kiedy oni jeszcze byli właśnie tam gdzieś, to trudno jest mi powiedzieć, skąd jest dokładnie to zdjęcie. To jest mój teść w środku, mój mąż, który grał na „akordionie”, jak mówił, i jego brat Walerian. Być może to jest jeszcze zdjęcie spod Lidy, Trzeciakowce pod Lidą, tak się to nazywało. Tu mój mąż miał jakiś wypadek z ręką. Grał jeszcze chyba jako dziecko na skrzypcach, miał jakiś wypadek z tego, co wiem, na jakimś kuligu czy coś i potem już... Zresztą zawsze tą rękę tak jakoś przytrzymywał. Ojciec Teosia, czyli mój teść, miał bardzo ciekawą historię, ponieważ on jako młody chłopak był w AK i chodził z bronią do 1947 roku w ogóle. Był w oddziale, który zajmował się likwidacją – nie wiem, jak się nazywały takie oddziały, jakoś tak specjalnie – likwidacją zdrajców. No więc tak też w całej drastyczności, jeszcze jedna drastyczność. A był bardzo młody i z nim była taka historia, to opowiadam oczywiście z drugiej ręki, bo to jest opowieść mojego męża, którą ja zapamiętałam. Jak była chyba akcja Burza, był moment, że oni współpracowali... Współpracowali, trudno powiedzieć, no ale Rosjanie, jak szli z tą ofensywą, to zawsze mieli jakieś takie oddziały, taką awangardę, nie wiem, jak to się fachowo nazywa, i wtedy Armia Krajowa przez jakiś moment nawet współpracowali z nimi, to znaczy, gdzieś tam niby wspólnie walczyli czy coś. W każdym razie w czasie jakiejś takiej sytuacji on jakiegoś tam z tych oficerów rosyjskich poznał. I później, jak jego zatrzymano, a zatrzymano go dopiero właśnie w tym 1947 roku, kiedy on jeszcze chodził z bronią, to trafił bodajże do Smoleńska, do więzienia. Tak mi się wydaje, że był w więzieniu w Smoleńsku. I tam jakimś cudem natrafił na tego Rosjanina, którego rozpoznał i on mu w jakiś sposób pomógł wyjść. Także właśnie cudem ocalał. Jak to takie historie wojenne, zupełnie przypadki takimi różnymi rzeczami rządziły. Znaczą, taką wersję znam, więc być może coś tu trochę przekręcam, ale podobno tak to było. Jako jedyny spośród swoich braci – a miał już, nie wiem dokładnie ilu, ale chyba przynajmniej trzech tych braci – nie przyjął obywatelstwa sowieckiego, no bo oczywiście Rosjanie swoim zwyczajem zmuszali ludzi do przyjmowania obywatelstwa. I mój teść nie przyjął tego obywatelstwa i dzięki temu oni się załapali jeszcze na tą repatriację, bo gdyby przyjął, no to wiadomo, że już by nie mieli szansy na powrót. Także taką miał historię. I tutaj, jak przyjechali, to gdzieś tam na kolei zaczął pracować i pracował. A jeszcze wcześniej spławił drzewo nad Niemnem. No bardzo ciężkie życie mieli i takie niebezpieczne i trudne. No ale w każdym razie brat mojego męża przyjechał do Warszawy na tym WAT studiować. I ściągnął Teosia. Ściągnął Teosia do Warszawy i Teoś dostał się na FTiMS, czyli Fizyka Techniczna i Matematyka Stosowana na Politechnice. No i już właśnie mieszkał w akademiku w Mikrusie. Już tam zaczął się wkręcać w to konspirowanie, a potem

został wiceprzewodniczącym NZS-u. No i tam już był na różnych strajkach i tak dalej, więc już był oczywiście zaangażowany na 200%. A jak stan wojenny wybuchł, to Teoś chyba był na zjeździe w Gdańsku, bo wiem, że mój właśnie szwagier, czyli Waldek, organizował, jak był zjazd w Oliwii, to on był informatykiem i zajmował się tą całą stroną informatyczną, która już wtedy, mimo że to było tyle lat temu, oni to zrobili tak, że na telebimach były wyświetlane... Tak, wyświetlane też biogramy kandydatów i tak dalej. Więc to na owe czasy było bardzo w ogóle nowoczesne. I Waldek potem właśnie niestety musiał odbębnić to w tym wojsku, te dwa lata w tym Orzyszu. I potem mój szwagier, jak już wrócił tu do Warszawy, to z kolei współpracował z mężem, oni też trochę razem mieszkali, bo teściowa moja, która była w Stanach Zjednoczonych, przyjeżdżała tutaj do Polski, ale wtedy chyba, w tych latach osiemdziesiątych... Chociaż nie, chyba przyjeżdżała, bo Teoś już miał z nią jakiś kontakt, bo zresztą te każde 100 dolarów od matki, no to służyło potem, wiadomo jakim celom, a miały swoją wartość. Teściowa kupiła im, było takie przedsiębiorstwo Puma, które dysponowało mieszkaniami za dolary. Oczywiście dla obywatelki Stanów Zjednoczonych te dolary tutaj to były śmieszne pieniądze, ta wartość tych mieszkań, no ale tutaj to były mieszkania drogie. I to przedsiębiorstwo już kończyło swoją działalność, ale właśnie ostatnie z tych mieszkań w tej ich puli, to były te mieszkania, które ona dla nich kupiła. I mężowi kupiła mieszkanie właśnie na Szegedyńskiej, a bratu na Międzyńskie, na Mokotowie. Oczywiście w blokach, małe mieszkanka, ale na owe czasy własne mieszkanie to było, prawda, i to takie kupione od razu, a nie księżeczką mieszkaniową i tak dalej. A, no i mój szwagier właśnie, który współpracował z mężem, robił tam różne rzeczy, jechał swoim chyba małym Fiatem, który był po brzegi wypełniony bibułą i miał od razu gdzieś pojechać, ale jednak nie pojechał od razu tam, gdzie miał pojechać, tylko jeszcze gdzieś po coś. No i go niestety złapali i przesiedział 9 miesięcy na Rakowieckiej. Dostał wyrok trzyletni, ale wyszedł po 9 miesiącach. Siedział już niestety z kryminalnymi, bo to była taka forma represji. No i po tych 9 miesiącach w ramach amnestii wyszedł. I do dziś pamiętam, jak wyszedł, to właśnie zamieszkał z moim mężem tam na Szegedyńskiej, gdzie były takie dwa wąskie, takie straszne bloki, gdzie były małe, ciasne mieszkanka, ciemne. I w ogóle ten blok, to po prostu były ciągłe jakieś awarie i tam się ciągle coś działo. Mieszkał i pamiętam, że cały czas chodził, bo jak siedział pod tą celą, to nie wolno było siadać, w związku z tym pamiętam, że jak wyszedł, to po prostu chodził wtedy i z powrotem. Bardzo duże takie piętno na nim ten pobyt w więzieniu jednak odcisnął. Tak, mówiłam o bloku na Szegedyńskiej, że to był blok wybudowany... To były bloki budowane dla pracowników Huty Warszawa, bo to jest Wrzeciono tam, okolice Huty. Bardzo niski standard, to były za Gomułki, jakichś przełom lat 60. i 70., coś takiego, budowane te bloki. Miały bardzo niski standard, były malutkie, ciasne, ciemne mieszkanka z małymi oknami i to był taki blok, gdzie się wjeżdżało windą, pośrodku budynku była winda i ona się zatrzymywała na półpiętrach i z tej windy były wejścia do takich korytarzy i na tych korytarzach były jeszcze bardzo często kraty. Ludzie nie wiadomo dlaczego sobie zakładali kraty, bo miało to ich jeszcze tam niby chronić i tak dalej. I dopiero jak się przechodziło przez tą kratę, to tam do tych poszczególnych mieszkań się wchodziło. I pamiętam, że jak właśnie moja teściowa przyjeżdżała ze swoim ówczesnym mężem do Polski, on był takim polonusem, chyba dość takim otyłym panem, który właśnie, jak przyjeżdżał, a to mieszkanie Teosia było na samym końcu tego budynku, tego korytarza, dzięki temu miał okno w kuchni, co było jakimś tam plusikiem i on zawsze po prostu nie mógł zrozumieć, jak to jest możliwe, że w Stanach wszystkie takie budynki mają te wyjścia awaryjne, takie schody awaryjne i co będzie, jak wybuchnie pożar? To jest w ogóle bez szansy. Pamiętam, że zawsze o tym opowiadał. I w tym bloku kiedyś było tak, że płonął zsyp, zsyp był oczywiście koło windy. Jak ten zsyp płonął, to przyjechała straż pożarna i wykuta, rozkuta te zsypy, gasząc je. W związku z tym potem hulał tak wiatr w tych zsykach, bo oczywiście nikt tego nie naprawił. Potem była awaria prądu. I pękła rura. Jak pękła rura, to lała się woda z samej

góry na dół. Nie było prądu, nie było ogrzewania, w związku z tym ta woda, która się lała, zamarzła na tych schodach. Winda nie działała oczywiście. I ja pamiętam, już jak był mój syn malutki, no to wejście z tym małym dzieckiem, a jeszcze wózek musiałam, bo nie wchodził do windy wózek, więc trzeba było przykuwać łańcuchem gdzieś tam na dole wózek, wejście po schodach z tym malutkim dzieckiem – chyba na 7 piętrze mieszkaliśmy, jakoś tak dosyć wysoko – no to był naprawdę nie lada wyczyn. Więc ja mówię, że to był taki typowy PRL. No i kiedyś w tym bloku też jakieś rury remontowali czy coś takiego i były wykute też piony, dziury, więc wszystko było słychać no i kiedyś słyszę ten sygnał Radia „Solidarność” charakterystyczny. Okazało się, że dwa czy trzy piętra nad nami mieszkało właśnie ktoś, kto w Radio „Solidarność” pracował i nagrywał audycje i to wszystko się niesło po całym budynku. No to takie były właśnie też historie. – Mówiła pani o tym, tak jak weszliśmy, też o tej rodzinie pana Klincewicza, że właśnie było mu ciężko, bo tu w Warszawie, mogę się domyślać, że właśnie za pani pośrednictwem, tu poczuł się dobrze, jak u siebie w domu, bo tego domu tutaj w Warszawie nie miał. – Nie miał de facto, tak. Potem miał to mieszkanie oczywiście, w którym też bywał często gościem, no ale nie miał takiej de facto rodziny. Miał oczywiście mnóstwo przyjaciół, był bardzo lubianym człowiekiem, naprawdę miał strasznie dużo takiego osobistego uroku, ciepła, był człowiekiem ze wschodu, więc to wszystko razem... No i oczywiście tą swoją ułańską fantazję. I ludzie go rzeczywiście bardzo, bardzo lubili i wszystkim jakoś się tak dobrze kojarzył i jeszcze miał taką cechę, to właśnie moja mama pewnie by fajnie opowiedziała, że wszystkie panie chciały się nim opiekować. On miał w sobie coś takiego... zawsze miał jakiś katar, bo zawsze był tak jakby podziębiony, miał z zatokami po prostu problem, w związku z tym był zawsze podziębiony i wszystkie panie chciały go zaraz ubrać, nakarmić. On oczywiście bardzo chętnie korzystał. Ale tu w moim domu myślę, że tak, że z moją mamą właśnie się bardzo lubił. Śmiała się zawsze, bo on z kolei właśnie mówił, jak tu przyjeżdżał, miał taką Skodę, Skodę przyjeżdżał i mówił, że on się tak „eSBecji” nie boi, jak mojej mamy. Że moja mama zawsze go tam do pionu stawiała. No i kiedyś, ja mieszkalam właśnie, już tam, byłam przy Hucie, a on tutaj przyjechał i mama dała coś do jedzenia, jakieś mrożone pierogi chyba. I mówiła – Teosiu ja cię bardzo proszę, czy ty jedziesz na pewno prosto do domu? On mówi – tak, tak, Doniu, oczywiście jadę prosto do domu. W ogóle nigdzie już nie zbaczam, jadę prosto do domu. Ona mówi – no słuchaj, bo tu są te pierogi, jak one się rozmrożą, trafi je szlag itd., itd. – Tak, tak, w ogóle nie ma problemu. No i oczywiście nie pojechał prosto do domu, tylko zajechał jeszcze po drodze chyba do Joanny Szczęsnej, mi się wydaje. Ale nie jestem tego pewna. W każdym razie tam był jakiś „kocioł”. To była oczywiście już sama końcówka lat 80., więc to już takie wszystko były ostatnie podrygi, ale w końcu był jakiś „kocioł” i on z tymi pierogami tam i po prostu jego jedyna myśl była taka: co on z tymi pierogami? [śmiech] Że te pierogi po prostu i Donia będzie wściekła i co on powie i tak dalej... Oczywiście te pierogi szlag trafił. No więc to były takie, no właśnie, moje życie się przeplatało z tą działalnością i z tym wszystkim. To było takie wszystko... To teraz mówię, no, wspomina się przeważnie te rzeczy takie bardziej zabawne. Ale to było bardzo ciężkie, zwłaszcza że jak się skończył ten ,89 rok, mój mąż jeszcze chciał dostać paszport i dlatego, że była jakaś taka sytuacja, że były do odebrania książki gdzieś w Niemczech, już nie pamiętam dokładnie, on miał jechać po jakieś książki, Wydawnictwa Literackiego, czy jakiś duży transport książek miał przywieźć i chciał dostać paszport i to już było po Okrągłym Stole, jego wezwał jakiś esbek i zaczął go po prostu przesłuchiwać, zaczął go przesłuchiwać i nawet od niego oczekiwać, że on będzie coś tam na kogoś coś mówił i tak dalej, i tak dalej. I on wrócił taki upokorzony, mówił – Boże, już wszyscy te paszporty mieli, już wszyscy właściwie wtedy wyjeżdżali, on jeszcze wtedy tego paszportu biedny nie mógł dostać. Pamiętam, że on jednak tą sytuację przeżywał. No i niestety po tym Okrągłym Stole, no już tylko właściwie zaczęły się natychmiast jakieś towarzyskie... Jedni z tej strony, drudzy z tej i tak dalej i dla Teosia

to było bardzo trudne, bo on właśnie był takim człowiekiem, który był ze wszystkimi, od prawa do lewa. On był bardzo rozczarowany postawą, pamiętam, opowiadał o sytuacji z Michnikiem, jak Michnik tam spod sejmu, chyba z Urbanem odjechał i Teoś do niego przyszedł i powiedział – no słuchaj, no właśnie a propos jego chłopców, co ja ma w ogóle mówić, jak ty takie rzeczy robisz? A on go wtedy straszliwie objechał, że co on będzie mu się wtrącał, że on wie, co robi. I to też było dla niego takie ciężkie przeżycie. No i też miał ciężką dosyć sytuację, ponieważ bardzo się czuł odpowiedzialny za chłopców, czyli za swoich współpracowników, którzy, co tu dużo ukrywać, przez ten cały stan wojenny, wiele osób nie poszło na studia, albo było relegowanych ze studiów. To zaangażowanie w tę działalność implikowało mnóstwo różnych sytuacji i problemów, tak? I mało było osób, które się w tej nowej rzeczywistości szybko i łatwo odnajdywały. I miał też taki problem, że pracował w Regionie Mazowsze i tam zajął się drukarnią, stąd zresztą wypadek, który miał, polegał na tym, że miał jechać jako delegat na Zjazd i miał jechać pociągami, a musiał wyjechać później, bo jeszcze trzeba było jakieś materiały wydrukować. Pojechał swoim samochodem, bardzo zmęczony już, też sfrustrowany. Myślę, że to nie był dla niego w ogóle dobry czas, już ten ,90, ,91 rok. I po prostu miał ciężki wypadek pod Mławą, gdzie po tygodniu zmarł. Ale to był też wynik tego, że właśnie nie pojechał normalnie, tylko musiał pojechać później i on właśnie był taki, że nigdy tego wszystkiego nie zostawiał. Zawsze się czuł w obowiązku i zawsze z tymi ludźmi, z którymi pracował, był wobec nich lojalny bardzo. No i też dla niego było dużym problemem, on szukał, żeby ci chłopcy dostali pracę jakąś i tak dalej. Też myślę, że był trochę rozczarowany, że niczego mu nie zaproponowano. Bardzo się często zastanawiałam nad tym.

Artur Kłus: Solidarność u władzy?

Dorota Przyłubska: Tak, człowiek tak zaangażowany i tak zasłużony co dużo ukrywać. To jest trochę tak, dla osób, które potrafią ze wszystkimi rozmawiać, to potem się okazuje, że z nimi nikt nie chce rozmawiać. Bo zawsze ta jedna grupa przypisuje wtedy tą osobę do drugiej grupy, no i to tak potem wychodzi. Właśnie Teoś nigdy nie był radykalny w tych swoich poglądach. On był bardzo taki, powiedziałabym, ludzki. To był taki człowiek, który był otwarty na dialog ze wszystkimi. Bardzo trudna była historia z „Tadem”, bo to się już zaczęło przed śmiercią, z Kotarskim, tak, bo on był już oskarżany wtedy o tą współpracę. A Teoś zajmował taką postawę... Jednak, no, broniącą trochę go, więc tutaj to ja nie chcę w to wchodzić, bo bardzo często jestem o to pytana, jaki Teoś miał stosunek, co on wiedział, i dlaczego i tak dalej, i ja nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, to mówię uczciwie, że nie umiem jednoznacznie, mam swoją jakąś tam teorię na ten temat. Ale nie umiem na to do końca odpowiedzieć. Tadeo, jak go tam parę razy spotkałam później z okazji, głównie... Aha, no w momencie śmierci Teosia, no to on w ogóle zniknął, potem się okazało, że rzeczywiście tam były jakieś rozliczenia finansowe też nie do końca w porządku, w stosunku do Teosia itd., to on się po prostu rozpuścił do tego stopnia, że nawet go nie było stać na coś takiego, żeby np. jakieś wydawnictwa – wydawał mnóstwo tych książek w Rytmie – żeby chociaż ten jeden egzemplarz sprezentować czy coś takiego. Absolutnie nie. I parę razy, jak się gdzieś na niego natknęłam, to wyraźnie po prostu uciekał, żeby ze mną nie rozmawiać.

Artur Kłus: Chociaż się państwo znaliście, prawda?

Dorota Przyłubska: Bardzo dobrze się znaliśmy, oczywiście tak, bo on się ciągle kręcił wokół i ciągle gdzieś tam bywał i tak dalej. Także na ślubie naszym był. On był właściwie cały czas obecny, a tutaj absolutnie unikał kontaktu

ze mną. No i myślę, że głównie z tego powodu, bo wszystkie inne powody raczej nie. Dobrze się znaliśmy, on bywał do tego stopnia, że nawet Sylwestra kiedyś z nim, jak wyszedł brat Teosia, Waldek z więzienia, to wyjechał do takiej znajomej, do Dębicy. I tam była też dramatyczna historia, bo wyszedł, Teosia nie było, jak go wypuścili, on nie poczekał. Mówię, tych telefonów nie było, potem zniknął. Szukaliśmy go wszędzie, potem się okazało, że wyjechał z tą znajomą. I myśmy tam dojechali, no to wtedy na przykład Tadeo też był na tym Sylwestrze. Więc on się cały czas gdzieś wokół kręcił. Trudno jest mi powiedzieć. Myślę, że Teoś był inteligentnym człowiekiem, więc też nie jestem w stanie uwierzyć, że nie wiedział, ale może miał w tym jakąś swoją strategię po prostu taką, żeby być jakoś też w jakiś sposób paradoksalnie chronionym, bo Tadeo był powiązany z tymi służbami wojskowymi, ale był. Nie wiem, to już niech się tym, mówię, historycy zajmą, bo... – Tak z pani perspektywy tych lat 80' już, to pani na przykład, jak spoglądała na Kotarskiego, pani miała jakieś swoje przeczucia wtedy? Miałam. No to wszyscy mieli, którzy go znali, ponieważ on tak zupełnie był z innej bajki. Człowiek w tym środowisku kompletnie niepasujący w sposobie ubierania się. Prosty też dosyć człowiek. Był wielbicielem Modern Talking, pamiętam. Ale nie o to chodzi. Bardzo był, zawsze miał jakąś... Może nie zawsze, ale miał jakieś narzeczone. Był taki... Ale też jakby w stosunku do mnie, w stosunku do Teosia... Ja myślę, że to był człowiek, który potem cierpiał już na rozdwojenie osobowości trochę, to tyle czasu trwało i tak dalej, że on już w jakimś momencie był też no tak psychicznie zaburzony też, żyjąc takim podwójnym życiem. Bo tutaj był wsadzony w coś wśród ludzi, którzy byli w gruncie rzeczy bardzo fajnymi, porządnymi ludźmi i on z nimi przebywał. Ja myślę, że on już w jakimś momencie nie wiedział, czemu on tak naprawdę służy. Taki wywiad z nim był przeprowadzany przez Pawła Smoleńskiego, który nie był potem nigdy opublikowany. Ten wywiad kiedyś czytałam, no i on tam opowiada, snuje te swoje opowieści. Oczywiście, jak to każdy człowiek, no może nie każdy, ale większość ludzi, się usprawiedliwia, gdzieś szuka, no to on o Tosiu mówił w ogóle z największą estymą. No, a z drugiej strony po prostu, no, więc... To bardzo trudne, to też historia na film, książkę i tak dalej, ale też i dla dobrego psychologa, jak to było. No ale ewidentnie był jakiś... Ja w ogóle wtedy, wie pan, to też było tak, że ja byłam wtedy bardzo młoda, byłam młodsza od mojego męża o 10 lat, wyszłam za mąż, mając 21 lat, 22 urodziłam syna, no więc też jakby moja perspektywa była zupełnie inna. To, co ja potem po latach sobie tam analizowałam i odtwarzałam... Zresztą powiem szczerze, że po tym, jak mój mąż zginął, to ja z tych środowisk nie dostałam właściwie żadnego wsparcia, żadnego. Załatwiono mi jakąś tam rentę rodzinną, która miała być rzekomo trochę tam lepszą rentą. Ona tam rzeczywiście jakaś tam była trochę lepsza. Ja jeszcze wtedy nie skończyłam studiów. I prawdę mówiąc, ja miałam pomoc ze strony mojej rodziny, bardzo dużą. Miałam tu rodziców na szczęście, przyjaciół, ale w ogóle niezwiązanych z tymi środowiskami, dużo więcej dostałam pomocy. Maciek Zaleski, który pracował wtedy w Kancelarii tego... załatwił mi telefon, pamiętam. Wtedy myśmy mieszkali już na ulicy Lizbońskiej, tu niedaleko, ale już nie na tej Szegedyńskiej, tylko tutaj kupiliśmy mieszkanie i Maciek mi załatwił telefon. I tak naprawdę to właśnie było wszystko, tak? I nikt nic w ogóle się specjalnie nie wysiłał. Zresztą to w ogóle nie dotyczyło jakby tylko mnie, bo ja byłam osobą tu, z Warszawy, miałam właśnie rodzinę, środowisko, także no, nie zginęłam. Ale na przykład osoby, które by były w gorszej sytuacji, a takich różnych ludzi, którzy przeżyli różne jakieś tam dramatyczne potem historie, było dużo i to niestety... Nikt o nich specjalnie nie myślał. Także to było dosyć przykre, że nie było tutaj myślenia jakiegось takiego. Gdzieś tam od czasu do czasu byłam zapraszana, potem syn, pamiętam, kiedyś też był zaproszony, już pojechał też na jakieś uroczystości do Gdańska. Ale to nie dotyczyło tylko mnie, w sensie, że ja byłam wdową z dzieckiem, tylko w ogóle ludzi działających, że przez wiele, wiele lat rzeczywiście oni byli pomijani we wszystkim. I nikt się specjalnie nie przejmował, czy oni sobie radzą, czy nie radzą. I że to, co zrobili, to też poświęcili ileś lat życia

i często karier zawodowych, a to właśnie studiów i tym podobne. Ja to wspominam teraz z perspektywy czasu zawsze z uśmiechem i z sympatią i w ogóle z taką wdzięcznością losowi, pomimo że tak się tragicznie życie mojego męża zakończyło i dla mnie to też nie było łatwe zostać wdową w wieku 24 lat niespełna, z maleńkim dzieckiem, i mój syn się wychowywał bez taty, bo właściwie miał 2 i pół roku, jak Teoś zginął, ale zawsze wspominam to, tak jak mówię, dziękuję losowi, bo to było po prostu coś takiego naprawdę zupełnie właśnie nietuzinkowego, niezwykłego. Ja tak jestem takim trochę outsiderem w życiu i zawsze tak troszkę pod prąd, a przynajmniej jak nie pod prąd, to swoją ścieżką, nie z tłumem, tylko zawsze gdzieś tak trochę z boku. Na pewno to nie było łatwe, bo w ogóle to, co opowiadałam o tej dziennikarce, która mnie zapytała o te randki, ja w ogóle nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nasze życie w ogóle nie przypominało standardowego życia małżeństwa, które się pobiera i tam, nie wiem, on pracuje, ona wychowuje dziecko, ale potem są pewne schematy. Tutaj to w ogóle było poza schematem wszelkim. Męża nie było właściwie całe dnie w domu. On wychodził rano i potem wracał do domu. No to też było anegdotyczne, bo to się śmiali, opowiadali wszyscy chłopcy, że Teoś wszystkim opowiadał, że on wraca na kąpiel syna. I to wyglądało w ten sposób, że on wracał, często moja mama też przyjeżdżała, albo ja wręczałam mu namydlonego małego Teosia, on go brał, wkładał do wanienki, oddawał i wychodził. Także mniej więcej tak to wyglądało. No więc właściwie praktycznie go nie było. Myśmy byli w podróży poślubnej na Węgrzech i to było rzeczywiście wspaniałe wspomnienie, bo to był ten 1987 rok, te Węgry to były też takie właśnie w porównaniu z Polską, jeszcze takie już troszkę... Zachód to jest za dużo powiedziane, ale w każdym razie wyglądało to lepiej niż u nas. I byliśmy na Budapeszcie, tam się spotkaliśmy z moją koleżanką ze studiów, która była taką pół Węgierką, pół Polką, ona nas oprowadzała po tym Budapeszcie. Potem pojechaliśmy nad Balaton, w winiarni żeśmy siedzieli. Bardzo było to rzeczywiście miłe i Teoś w ogóle był zachwycony, bo to był właściwie jego pierwszy... On tam trochę wyjeżdżał, bo lubił żeglować, więc jeździł na Mazury. No i właściwie tyle. Na te Mazury wypadał tam na tydzień czy kilka dni i koniec. Zresztą właśnie w 1981 roku, jak szukałam kiedyś papierów w IPN-ie, jeszcze dawno, dawno, dawno temu, no to jedyne teczki Teosia, jakie znaleziono i przyniesiono, to były teczki, jak on się starał o paszport, żeby na Bornholm popłynąć. I tam jakieś były kwestionariusze z tym związane. I w końcu chyba nie dostał tego paszportu. I w związku z tym on nigdzie tak nie jeździł, nie odpoczywał, więc ten wyjazd, ta podróż poślubna na Węgry, to było w ogóle wow! Z perspektywy tamtego czasu, ale też i dla niego. Potem pamiętam, że nawet właśnie na wakacje już, jak Teoś był mały, to jak na wakacje jechałam, to jechałam z koleżanką, on nas tylko odwoził, wracał, bo nigdy na nic nie miał czasu. Czy to była sobota, niedziela, to właściwie nigdy nie miał czasu. Także właściwie całe dnie go nie było. Ja bardzo dużo tutaj byłam u rodziców. Jeszcze tam próbowałam trochę studiować jeszcze po śmierci Teosia, właściwie pracę broniłam dopiero już po śmierci męża. I to nasze życie było takie, właściwie wszystko było podporządkowane temu. Jak ja myślę Teoś, to ja nie myślę w sensie mój mąż, ojciec mojego dziecka, tylko ja myślę Teoś – działacz. I dopiero – z którym ja się związałam. Tak to trochę wyglądało. Ale z drugiej strony to było takie życie, mało kto ma takie życie. Ja poznałam mnóstwo ludzi przez niego też. Przez to, że byłam młodsza, to były przeważnie starsze osoby, więc też weszłam w takie środowisko starszych od siebie ludzi. Ale też właśnie z bardzo ciekawymi życiorysami. Zresztą to zawsze byli właśnie nietuzinkowi ludzie. Oni mieli różne charaktery, bo nie każdy był święty, wręcz przeciwnie. Ale to były bardzo ciekawe postacie. Poza tym takie to było wszystko... Też nie chcę tak brzmieć, jak taka stara matrona, co tak gada, ale trochę jest tak, że wtedy się żyło jednak światem jakichś takich wartości. To były takie dosyć jednoznaczne wybory i postawy. W związku z tym miało to w jakimś sensie więcej sensu. Bo teraz jak się słucha i rozmawia, to często u młodszego pokolenia to ten czas dorabiania się i nagle ludzie weszli po prostu w coś, że ich

życie polega na pracowaniu i konsumowaniu. A wtedy ta konsumpcja, to była jeszcze ho, ho, ho. To były w ogóle... Z racji tego, że nie bardzo było co kupować, – Nie myślało się tak... – Ale nie myślało się w ten sposób. Jednak Teoś miał bardzo jednoznaczny światopogląd, a ja, tak jak opowiadałam, też wyszłam z domu, gdzie też zostałam w takim świecie wartości wychowana, może nawet w jakimś takim trochę kulcie tej przedwojennej Polski. Nie oszukujemy się, to też nie był przecież ideał, ale jednak uznawało się, że ten świat to był ten dobry, prawidłowy, a ten, co przyszedł później, to był właśnie absolutnie wypaczony i człowiek się z tym w ogóle nie identyfikował. Czyli nie wszystko jest takie czarno-białe. Ale trochę tak to było. Także ja, powiem szczerze, nigdy bym tego nie żałowała i ten koszt, który zapłaciłam, w jakiś sposób też, że to moje życie wtedy nie było też takie tzw. normalne, no to nigdy w życiu bym tego nie zamieniła, uważam, że to był w ogóle najważniejszy okres w moim życiu. I że to ma taką... Mówię, nigdy bym nie zamieniła absolutnie, bo to były takie sytuacje, w których człowiek jakoś tak, no nie miał właśnie, to był taki czas, w którym nie było wątpliwości... No bo wydaje mi się, że teraz często stajemy wobec takich wyborów, że coś jest pozornie dobre, ale nie zawsze do końca, tak? Jak tak się zaczyna, nawet jak ludzie wykonują jakąś pracę, to gdzieś tam na końcu, tutaj można wszystko robić okej, ale gdzieś na końcu to nie zawsze ten efekt jest tak idealny. A wtedy to było wszystko takie, właśnie mówię, zero-jedynkowe absolutnie. No tu bylibyśmy „my”, tam byli „oni”. Oczywiście znałam też dużo osób, np. w liceum, koleżanek, czy nawet na studiach później, osób, które jakby były z tzw. drugiej strony barykady, albo z domów np. jakichś innych. Ale wtedy się pomimo wszystko rozmawiało. Tak jak opowiadałam o tym profesorze – znaczy, nie wykładowcy, tylko nauczycielu z liceum – no to pamiętam, że on z nami rozmawiał. On był autentycznie przejęty. Mówił jakby z innej perspektywy, ale on był autentycznie tym przejęty i bardzo nas szanował. Nasz wybór właściwie szanował wtedy. Potem po maturze, którą zrobiłam, bo ja z tego liceum Wyspiańskiego po dwóch latach przeniosłam się do liceum Poniatowskiego, tam na Muranowie, za Pałacem Mostowskich z tyłu, i w tym drugim liceum, już miałam inne towarzystwo, ale też bardzo pozytywne. Mieliśmy te „czarne msze”, tam byłam tym samym rocznikiem maturalnym, co Grześ Przemyk, który był w liceum obok, więc znaliśmy takich różnych znajomych. W klasie miałam np. dziewczynę, która pochodziła z Grodziska Mazowieckiego, tam, gdzie byli ci chłopcy, gdzie była śmierć Karosa, tego milicjanta. Ona знаła ich osobiście, bo z nimi do podstawówki chodziła. Także było dużo takich sytuacji, gdzieżeśmy stawali wobec... potem śmierć księdza Jerzego Popiełuszki, którego ja nie poznałam osobiście, ale mój mąż go poznał. I zresztą a propos Karosa, to była też taka historia, że w jakiś sposób eSBecja powiązała Teosia właśnie z tym środowiskiem, z tą sytuacją. I szukali go i właśnie byli u mojego teścia, jeszcze wtedy żyjącego, bo to było w okresie, jak się Teoś ukrywał i przyszli do niego i tam szukali Teosia gdzieś pod szafkami i w kuchni i jakieś takie różne historie. Też mu tam zrobili jakiś „kipisz” w mieszkaniu z tego powodu.